ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 16-go Grudnia 1897. Nr. 50.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

TATARSKA SIEROTA.

Zadzwonili w dzwony w Rabach, a była to mała wioska w sanockiej ziemi niedaleko miasta Liska. Ludzie poczciwi a nabożni w sukmanach i kubrakach wysypali się z cerkiewki po nieszporach, i zatrzymali się przed plebanią.

Ksiądz Michał, proboszcz Rabski, zdjął z siebie kościelny ubiór i wyszedł furtą zapytać gromadę, czegoby żądała. Twarz Jegomości była blada, smutna, chuda, znać było po niej, że niedawno jak wyszedł z tatarskiej niewoli.

A trzeba wam wiedzieć, że to było w owym strasznym czasie, kiedy Tatarzy najokropniej pustoszyli naszą polską ziemię. Król, jak mógł, uwijał się z poganami, aleć mimo tego, dymiły się w około belki niedopalonych chałup i rozsypywały się w gruzy zamki pańskie. Co było jeszcze całych zagród, to były puste, bo Tatarzy pognali siła ludu jak bydło na swoje stepy.

Codzień było mniej obrońców, a codzień więcej nieprzyjaciół. Matki chowały z trwogą dzieci, bo ojców już nie ma w chacie, żeby ich bronili... Hej! hej!... jednych pozabijali, a drugich powiedli gdzieś daleko... Piją oni pod płóciennym namiotem poganina kobyle mleko, jedzą surowe końskie mięso.

Otóż takie to były czasy, kiedy gromada Rabska wyszła z nabożeństwa, i skupiła się w około szanownego i kochanego plebana.

W pośrodku niewiast i kmieci stało czternastoletnie pacholę, a po onem pacholęciu spoglądali wszyscy, jakoby ojcowie. Cała gromada otoczyła tego chłopca, bledszego i smutniejszego od innych, a Grzegórz, gospodarz największej lecz najbardziej spustoszonej chaty, powiedział:

— Przyszliśmy do Jegomości z tą sierotą.

— Więc cóż? — zapytał ksiądz proboszcz z pośpiechem — chcecież ją opuścić i oddalić od siebie?

— Opuścić? — krzyknęła gromada, — o! niech nas Bóg uchowa, Dobrodzieju! Pamiętamy dobrze na on dzień straszny, kiedy Tatarzy od strony Ustrzyk wpadli do cichej naszej wioski.

Ksiądz proboszcz wstrząsnął głową a Grzegórz mówił dalej:

— Byliśmy wtedy w polu i nie było już czasu ratować dobytku: Poganin białą czeladź zabierał w jasyr, kto mógł, to uciekł z życiem i nas oto garstka została...

— Do czegóż te smutne przypomnienia, — przerwał ksiądz proboszcz, — mamyż znowu płakać i szlochać nad tem, co się już raz stało?

— Oj, pozwólcie nam Jegomość jeszcze raz rozpłakać się na tę spominkę — ozwał się głos z gromady. — Widzimy to jak dzisiaj, kiedy Tatarzy zrabowali cerkiewkę... Wtedy to i was zabrali Dobrodzieju.

Ksiądz proboszcz złożył ręce i popatrzał z żalem na rozwaloną wieżyczkę i na podrapane ściany kościoła.

Grzegórz mówił dalej:

— Oj tak! i was, wielebny Ojcze, porwali w niewolę. Pan nasz ledwie się obronił z dziarską czeladzią. Sam Pan Bóg czuwał nad nimi.

Jasna łza wdzięczności ku Bogu zabłysła w oczach księdza plebana. W milczeniu słuchał smutnej powieści.

— Wróciwszy do wsi, znaleźliśmy puste chaty i puste stodoły... ciągnął dalej Grzegórz. Dobytek przepadł wraz z czeladzią! Spoglądamy smutni, a tu przy drodze, pod jesionem, co go Tatar ociął toporem z gałęzi, ozwał się płacz cichy i cieniutki... Było to niedaleko chaty Tańczynej. Zbliżyłem się ostrożnie i ujrzałem pod jesionem maleńkie dziecię Tańki na trawniku. Matki jego nie widać do dzisiaj. Gromada widziała, jak ją Tatarzy przywiązaną do konia pędzili; więc postanowiła wychować jej dziecię i przygarnąć do siebie.

— Wzięliśmy chłopca jak swojego. Kobiety dały mu opiekę i pokarm, a parobcy postarali się o odzież dla chłopca. Minęło lat czternaście, dziecię ślicznie wyrosło, a ponieważ je Tatarzy osierocili, tośmy go nazwali Tatarską sierotą.

— Oto jest Tatarska sierota! — dodał Grzegórz, — kładąc rękę na ramieniu czternastoletniego Janka, a ksiądz proboszcz dodał:

— Wiem o tem wszystkiem; dla czegóż więc przypominacie mi wasz dobry uczynek?

— Niech nas Bóg broni! — przerwał Grzegórz — żebyśmy się chcieli przechwalać tem, cośmy zrobili w imię Jego i dla Jego chwały. Nie o to więc idzie, ale pacholę ma już lat czternaście, trzeba więc, żeby poznało swój początek, a wartoby też i pomyśleć, co będzie dalej robiło na tym świecie... Złożyliśmy tam garstkę pieniędzy, co przy biedzie uciułano, więc niech też to Jegomość weźmie od nas, a odda chłopca do takiej szkoły, gdzieby go nauczyli albo szablą wywijać, coby matkę odbił z niewoli, albo też umiał zarobić na jej wykupienie...

Księdzu proboszczowi wypogodziła się twarz. Aż zapłakał z radości i rzekł do gromady:

— Nie dziwcie się, dzieci moje, łzom starego człowieka. Toż to ksiądz z wami zawsze smuci się i weseli, z wami się modli, z wami zaznał niewoli, i z wami czuwał nad młodością tatarskiej sieroty... Niechno się przeda tegoroczne żyto, to mój grosik dodam do waszego, ta i odwieziemy Janka do miasta.

Jeszcze ksiądz pleban nie dokończył, kiedy od Ustrzyk zaczerniła się droga całą chmurą piasku, co podlatywał do góry. Gwar i hałas rozchodził się po zielonych łąkach ubranych w przeróżne kwiateczki. Zdawało ci się, że się miód sączył z wonnych ziół, a mleko z tłustych krów, co się pasły na łące.

Aleć w tej chwili wszyscy zapomnieli o dostatkach. Ksiądz pleban patrzał się długo po ciemnej drodze, a potem zawołał ciężkim głosem:

— Tatarzy!...

Organista uderzył na gwałt. Gromada nie wiedziała co robić; bardzo ich było mało; żeby się obronić poganom. Nikt się nie ruszył, jeno wszyscy stanęli w okrąg tatarskiej sieroty, nieruchomi i niemi jak z kamienia.

— Przecież zdołamy obronić dziecinę,.. każdy z nich szepnął, i pocałowawszy szkaplerz, czekał spokojnie.

Tłum nieznajomy zbliżał się coraz więcej do kościółka, ale wkrótce zdziwili się wszyscy i uradowali, skoro poznali sukmany kmiece ze wsi sąsiedniej. Szli drogą swoi ludzie i prowadzili pośród siebie z gwarem i krzykiem jakąś niewiastę.

Tłum się zatrzymał: wynędzniała, drżąca i wylękła kobieta padła na kolana przed księdzem, twarz jej była blada jak u trupa, suknie krwią pobryzgane, a jednak wszyscy od razu ją poznali, i wszyscy razem wykrzyknęli:

— Tańka! Tańka!... powtórzyły gromady, a niewiasta klęczała przed Jegomością, Janko zaś u nóg jej leżał, wołając:

— Matko! Matko!...

Trudno sobie zgoła wyobrazić radość tej biednej niewiasty. Uciekła ona z niewoli tatarskiej i przebyła wszystkie męki ucieczki, aby się jeszcze choć pomodlić w swoim kościółku, a tu zobaczyła swego synka jedynego, co już myślała o nim, że zginął gdzie marnie na polu.

Nie można też było oderwać matki od syna, płakali i ściskali się z radości. Wreszcie kobieta drżąca i trwożna ze zwyczaju, oglądając się, czy Tatarów nie widać, rzekła:

— Przed czteraastu laty, gdy Tatarzy rabowali naszą wioskę, zobaczyłam ich, kiedy gnali za mną. Chciałam choć dziecko ocalić od strasznej niewoli, i rzuciłam je w trawę pod wielkim jesionem. Później żałowałam tego ciężko, srodze wyrzucając sobie, żem nie zachowała dziecko przy sobie, żem mu przyspieszyła może śmierci z głodu albo z tatarskiej ręki. Ale już było wszystko daremnie, i przez czternaście lat jęczałam za siebie i za dziecko moje, aż dzisiaj dopiero zakończył Bóg srogie męki!...

Tutaj ksiądz pleban opowiadał Tańce po krótce, jakim sposobem Janek ocałał. Łzy rzewne płynęły jej z oczów, a ręce raz po raz wznosiła w górę z modlitwą za poczciwą gromadą... Biedna i trwożliwa przygarnęła syna do siebie, i wskazując w strony stepów, mówiła:

— Oj! straszno tam, straszno u nich! Ani Boga, ani pacierza!... rzucą ci kawał surowego mięsa, dzikie śpiewy odzywają się w około a ostra szabla wisi ci prawie nad głową!...

I długo, długo Tańka miała jeszcze co opowiadać. Gromada słuchała jej ze zgrozą, Janko ze smutkiem. A skoro pieniądze zebrane na dalszą naukę sieroty oddawał ksiądz proboszcz gromadzie, pacholę prosiło, aby go też wysłali do jakiej szkoły, gdzieby się mógł nauczyć szablą robić i pójść obronić i odbić inne matki i dzieci, skoro mu Bóg łaskawy pozwolił już odszukać swoją matkę.

Zkąd pochodzą siły w człowieku?

czyli

Dzieci mięsa jadać nie powinny.

W Nr. 47 »Światła« umieszczono artykuł, w którym nieznany autor pragnie dowieść potrzebę spożywania mięsa. Zaleca on mięso szczególnie dla dzieci, twierdząc, że »wyłącznie roślinne pożywienie jest dla dzieci zabójcze«.

Jakież przyczyny skłoniły niepodpisanego autora do twierdzenia tak mylnego? Celem odparcia błędnych jego twierdzeń, przytaczamy niniejszem kilka odmiennych zdań mężów nauki z książeczki co dopiero wydanej p. t.: »Jarstwo i jego znaczenie« wedle orzeczeń słynnych uczonych. (Nakładem »Przewodnika zdrowia, Berlin, Karlstr. Nr. 32, cena 25 fen.). — Dr. med. J. Drzewiecki z Warszawy twierdzi:

1. Zalecanie mięsa przez lekarzy stoi w sprzeczności a) z najnowszemi badaniami fizyologii, anatomii porównawczej i chemii fizyologicznej, b) z doświadczeniem wiekowem ludów i c) wreszcie z filozofią samej przyrody.

2. Nic nie usprawiedliwia barbarzyńskiego zwyczaju zabijania zwierząt i karmienia się ich ciałem, pokarmem, który jest najdroższy, najgorszy, najniezdrowszy i najbardziej obrażający estetyczne i szlachetniejsze uczucia człowiecze.

3. Dyeta roślinna przywraca zdrowie i sprzyja rozwojowi sił cielesnych i umysłowych, natomiast mięsna rozwija instynkty i skłonności zwierzęce.

4. Rozpowszechnienie błędnego mniemania o mięsnej dyecie, jako najzdrowszej i najpożywniejszej, zawdzięczamy nieznajomości rzeczy wśród lekarzy, których większość niewolniczo cudze zdania i poglądy podziela: wiara nie oparta na wiedzy, to przesąd.

5. Medycyna nie zna żadnych chorób, któreby z użyciem pokarmów roślinnych były związane, zna natomiast cały szereg trapiących ludzkość dolegliwości, dyetą mięsną spowodowanych, a w tym szeregu naczelne miejsce rak i suchoty zajmują.

Sławny Bernardin de St. Pierre nauczał: »Dzieci przyzwyczajać trzeba do pożywienia roślinnego, które człowiekowi jest przyrodzone.

Narody żyjące roślinami są najpiękniejsze ze wszystkich i najsilniejsze; najmniej ulegają chorobom i namiętnościom, i wyższego daleko dosięgają wieku. Ponieważ jarstwo zawiera dużo cnót, a żadnej nie wyklucza, dobrze tedy dzieci w niem wychować. Jarstwo wywiera szczęśliwy wpływ na piękność ciała i spokój duszy. Ten sposób żywienia się przedłuża dzieciństwo a zatem i życie«.

Lamartine twierdzi: »Przyjdzie czas, że spożywanie mięsa zwierzęcego będzie ludziom równie wstrętnem, jak obecnie spożywanie mięsa ludzkiego«.

Słynny uczony, przyrodnik Aleksander Humboldt orzekł, że »zwyczaj jadania mięsa ze zwierzęcia zmniejsza nasz wstręt do ludożerstwa«. Na innem zaś miejscu mówi: »Pewien obszar ziemi, który w Europie obsiany pszenicą, może wyżywić 10 osób, zaledwie wyżywi jednego człowieka wytwarzającego na nim mięso; w Meksyku, obsiany bananami, utrzymać może około 250 ludzi«.

Dr. med. Nagel powiada: »Jeżeli rodzice dzieciom swym dają mięso i rosół wprost przeciw ich przyrodzie, to przez to obieg krwi bardzo się przyspiesza, i krew wchodzi w stan wzburzenia, który skłonnym czyni do zapaleń i uderzeń krwi. Dzieci, co prawda, wtedy rumiane, pełne mają policzki i niby »tryskają zdrowiem«, lecz nie jest to prawdziwem zdrowiem, ale raczej pozorem jego. Podobne one do rumianych jabłuszek, w których gnieździ się robak, a najmniejszy wietrzyk strąca je«.

Jak błogie są skutki jarstwa u dzieci, dowodzą tego doświadczenia, które robiono w domu sierot w Albany nad Hudsonem w Ameryce. Gdy w roku 1829 dom ten otwarto z 70 dziećmi, tak donosi dr. Combe, bezustannie 4—6 dzieci znajdowało się w lecznicy. Po 3 latach zaczęto dzieci żywić czysto po jarsku; wtedy lecznica zaczęła świecić pustkami. Dzieci nabrały żywości i wesołości, stały się grzeczniejsze i milsze względem siebie nawzajem. Przedtem corocznie zdarzało się po kilka wypadków śmierci, teraz przez lat kilka nie było ani jednego. Prof. Graham i jeden z nauczycieli powiadają o tem schronisku: »Skutki dyety jarskiej u dzieci są tak oczywiste, że niepodobna ich nie zauważyć i nie przyznać. Siły ich cielesne i umysłowe znakomicie się podniosły, a dar ich spostrzegawczy i siła pojęcia zdumiewają mnie. Chcąc się dokładnie przekonać, dawano przez czas niejaki dzieciom w miejsce razowego chleba, znowu chleb pytlowy i bułki. Skutki na ogólnem zdrowiu tak ujemnie się odbiły, że bezzwłocznie wrócono znowu do razowego; wtedy i stan zdrowia w krótce się znowu poprawił«.

Słynny Bacon orzekł: »Dzieciom daje się wszystkie występki z mięsem«.

Liebig uznał w późniejszych dziełach swych mylność pierwotnych swych zapatrywań na »wyciąg mięsny«.

Prof. dr. Förster, mówi: »Jarstwo jest podstawą nowego życia«.

Dr. Alcott orzekł: »Dopóki używanie pokarmów mięsnych nie ustanie, dopóty daremne będą wszystkie usiłowania leczenia chorób«. Cuvier, uważany przez Virchowa za największego anatoma porównawczego, wyraża się tak: »Człowiek nie jest podobny do żadnego zwierzęcia mięsożernego. Równa się raczej co do porządku i ilości zę-

bów w zupełności orangutanowi, stworzeniu owocożernemu. Również i trzewia człowieka odpowiadają zwierzętom roślinożernym.

Dr. med. Düring wyraża się w pewnem sprawozdaniu, że podziśdzień ginie znacznie więcej ludzi, tak zdrowych jak chorych, ale szczególnie ozdrowieńców (rekonwalescentów), od wina, bulionu (rosołu), jaj, byfsztyków i ekstraktów mięsnych, niż od wodnych zup. — Podobnie wyraża się dr. med. Brücke w swych wykładach fizyologii.

Prof. Virchow pisze: »Twierdzę, że rosół mięsny jako taki nie jest ani środkiem spożywczym, ani też nie jest posilnym, ale jest tylko używką i artykułem zbytkowym«. — A dalej: »Przy dzisiejszym naszym sposobie życia, gdzie jedno draźnidło (podnieta) ma następować po drugiem, gdzie wino, wódka, kawa i herbata, tytoń i korzenie ciągle się zmieniają nawzajem, jużci do pewnego stopnia postępem nazwać się to godzi, że posiadamy jeszcze inny środek dla odmiany i że wsunąć możemy rosół jako pośrednią podnietę pomiędzy owe podniety wielkie. Ale czyż taki sposób życia może być w ogóle pożytecznym dla zdrowia? Czyż ciału potrzeba koniecznie jednej podniety po drugiej, ażeby swe czynności prawidłowo wypełniać mogło? Z pewnością że nie! Nerwowe pokolenie pragnie takich podniet, zdrowe unika ich. Mięso nie jest tak niezbędnym dla człowieka środkiem spożywczym, za jakie obecnie tak często je uważają«. Podług prof. Virchowa żyje podziśdzień dwie trzecie ludzkości całkiem bez mięsa, co uważać trzeba jako bardzo ważny dowód, przemawiający przeciw jedzeniu mięsa.

Kończymy niniejsze zestawienie uwagą, którą zrobił słynny I. A. Gleizes w swem dziele »Thalysie ou la nouvelle existence« (księga II, 88): Surowe zachowanie licznych postów zrobiło z Polaków najszlachetniejszy naród na całej ziemi«. Z pewnością, że to samo, a mianowicie rozumne jarstwo najlepszą być może także podstawą naszego odrodzenia, zarówno cielesnego jak duchowego. Od nas samych ono zależy. Oby też jak najrychlej nastąpiło!

Każdemu, kto bliżej się chce zapoznać z jarstwem i tegóż znaczeniem tak dla zdrowia i charakteru dzieci jak też dorosłych, zwracamy uwagę na rozprawkę dr. med. Drzewieckiego, umieszczoną w książce p. t.: Jarska kuchnia, które to dzieło jeszcze w bieżącym roku ukończonem zostanie i kosztuje w przedpłacie tylko 1 mk. 25 f., (zamiast 2 mk. 50 fen.).

Odwołując się na powyższe zdania i twierdzenia uczonych, dbających o dobro społeczeństwa, radzimy:

Rodzice, nie dawajcie dziatkom waszym żadnego mięsa.

Redakcya „Przewodnika zdrowia".

HENRYK POBOŻNY.

Kiedyś przed bardzo dawnemi laty
Był jeden książę zwany brodaty,
Zwany brodaty przez tę przygodę,
Że sobie z młoda zapuścił brodę,
Kiedy go z żoną cudną a młodą
Święci anieli sami rozwiodą.
Jedno jak drugie złości nieznało,
Jedno się w drugiem wielce kochało.
Tak się kochali jak nikt na świecie,
Aż tu raz jeden dał im Bóg dziecię,
Które gdy matka w kolebkę kładła,
Na kolebeczkę jasność upadła.
Strachnie się matka, oczy zasłoni,
Aż tu się cała ziemia rozdzwoni.
Więc się przez palce choć kęs oświeci,
A tu moc dzieci, niebieskich dzieci.
Wszystkie pobite tatarskim nożem,
Nad kolebeczką wiszą nad łożem;
I ocierają skrzydłami oczy,
Co je żal chmurzy, co je łza mroczy.
Kiedy przy dziecku śliczna postawa,
We złotej zbroi duch Bolesława,
Stoi a w wietrze miecz dzierży długi,
Jak od tej sosny do tej tam drugiej.

Wejrzy matuchna, ażci jej malec
Przysięgę składa palec na palec,
Że jak urośnie miecza przypasze,
Za tę krew naszą, za dzieci nasze,
Jeśli matuchna zrobi ofiarę,
Klasztor wystawi na lata stare,
I z Panem Bogiem zwiąże się śluby,
I habit na się nawdzieje gruby.
Jak to usłyszy godna niewiastka,
Myśl jej zaświeci niebieska gwiazdka;
I z myślą oną gwiazdeczką białą
Do męża bieży czekając mało...

A gdy mężowi jak co opowie,
Jak sobie kiedyś dali po słowie,
Tak kiedy dobra myśl je owienie,
Oddali sobie złote pierścienie,
I ony książe i ona księżna,
Już nie żonaty i nie zamężna.
Onemu w ziemię urośnie broda,
Białym się kwefem okryje młoda,
A pacholątko wieczorną ciszą
Pobite polskie dziatki kołyszą.

Jedne po drugich mijają laty,
Umarł pan ojciec Henryk Brodaty;
Matka się w głuchą zamknęła wieżę,
A młodzieniaszka sam Pan Bóg strzeże.

Komu łez polskich strumień nie znany,
Wodze tatarscy, Baty Kajdany,
Baty, Kajdany, Gałgany, Pęta,
Do dziś dnia Polska nasza pamięta.
W krew nam się wbiły, w pamięć się wbiły,
Tatarskie siły szatańskie siły.
Na polską ziemię naszły Tatary,
Ludzie się garną pod klasztor stary,
Kędy ofiarę pobożna ksienia
Ongi czyniła z swego pierścienia.
Syn jej we zbroi jechał u wieży,
K'miłemu synu matka nie zbieży,
Jeno mu wyda miecz poświęcony,
Jeno mu każe dzwonić we dzwony,
I odnieść każe takowe słowa:
Bacz, coć powiada mać Henrykowa:
Synu mój miły, idź na te boje,
Życie bo twoje, twoje nie twoje.
Najcięższa burza przegrzmi nad tobą,
Najcięższą kraj się skryje żałobą;
Lecz moc największą Tatar przełamie,
Twoje pobożne rycerskie ramię.
A jak wyrzekła tak się i stało,
Krew się polała, lecz złe przewiało.*)

Teofil Lenartowicz.

*) Henryk II, zwany Pobożnym, padł w bitwie z Tatarami pod Lignicą, 1241 roku.

O MRÓWKACH.

Mrówki żyją w wielkich towarzystwach, i składają jakby naród, co się rządzi pewnemi prawami; budują one sztuczne mieszkania zwane mrówiskami, już to w ziemi, już też w wypruchniałych drzewach. W mrówisku trojakie znajdujemy mrówki, to jest: samce, samice i tak zwane bezpłciowe, czyli ani samce, ani samice. Te bezpłciowe nie mają nigdy skrzydeł; samce zaś i samice przez krótki czas opatrzone są cienkiemi skrzydełkami, które im wkrótce odpadają. Samice i bezpłciowe mają żądła, albo brodawki, z których się sączy ostra, kwaskowata ciecz, zwana kwasem mrówczanym. Samce tego kwasu nie mają.

Mrówki u nas znane są dwojakiego koloru: brunatno-czerwone, inaczej zwane borowemi, które zazwyczaj po lasach przebywają, i jasno-czerwone, które najwięcej po polach żyją, i są mniejsze o połowę od pierwszych.

Mrówiska zakładane w ziemi składają się z sosnowych igieł, z drobnych drzazg, włókien, odłamków kory, okruszyn żywicy sosnowej, ziemi i t. p. Budowa ich napozór tak prosto prowadzona, godną będzie podziwienia, jeżeli się bliżej tym niekształtnym na oko kopcom przypatrzymy. Ujrzymy, jak w nich wszystko ma swój cel; zobaczymy tam tysiączne bramy strzeżone we dnie, a na noc zamykane; liczne sionki prowadzą tam do nierównie liczniejszych, większych i mniejszych komórek, które się mieszczą na wielu piętrach zbudowanych już to nad ziemią, już też w jej głębi. Prócz tego ujrzymy tam jeszcze mnóstwo krętych ścieżek, schodów, podpór i t. p. Kopce te tak szczególnie są zbudowane, iż największy deszcz nie przesiąknie do ich wnętrza.

Lecz jeżeli godną jest podziwu zmyślność i pracowitość mrówek w bu-

dowaniu mieszkań swoich, nie mniej uderzającą jest ich troskliwość w wychowaniu potomstwa. Po złożeniu jajek, gdy gąsienice (czyli liszki) z nich wyjdą, zatrudniają się one starannie ich wyżywieniem i troskliwie pielęgnują. Liszki te przemieniają się potem na białe poczwarki podobne do ziarnka kaszy owsianej. Te poczwarki we dnie wynoszą mrówki często na słońce lub w cień, a wieczorem znowu do mrówisk znoszą. Dosyć jest, dla przekonania się o tej troskliwości, rozrzucić jakie mrówisko, a spostrzeżymy, jak tysięce mrówek skrzętnie się uwija, rozrzucone poczwarki troskliwie znosi, i w mrówisku przechowuje, a zapewne żadna obcej nie zabierze. Poczwarki te białawe, mylnie są nazywane j a j a m i m r ó w c z e m i, bo jajka mrówek są drobne, zaledwie ziarna piasku dochodzące. Z poczwarek dopiero wychodzą mrówki.

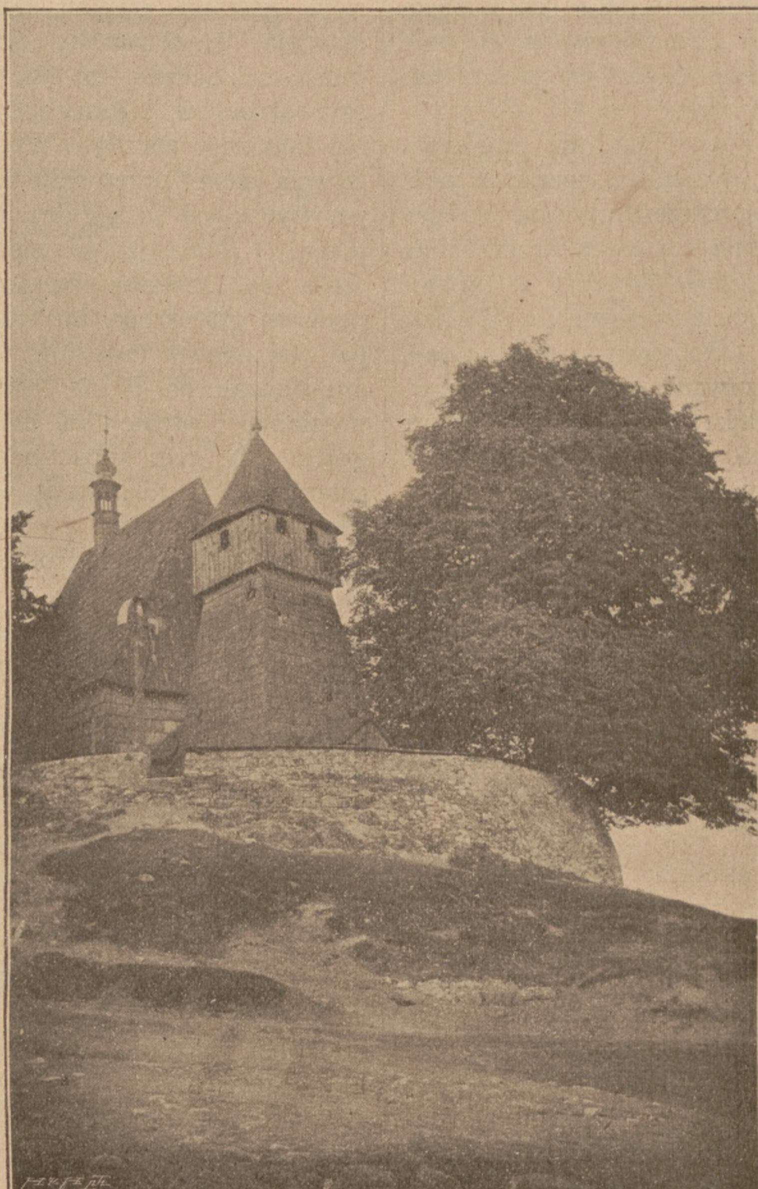
Mrówki należą do owadów użytecznych. Z ich kwasu robi się s p i r y t u s m r ó w c z a n y, używany na lekarstwa, lub też przyrządza się ocet mrówczany; poczwarki mrówek (owe nibyto mrówcze jajka) są ulubionym pokarmem słowików; prócz tego w ich mrówiskach znajdujemy m i r r ę k r a j o w ą, której się używa do kadzenia, a którą w święto Trzech Króli lud nasz przynosi do święcenia, na pamiątkę ofiarowanej niegdyś mirry nowonarodzonemu Zbawicielowi naszemu. Mirra nasza składa się z okruszyn sosnowej żywicy, która przesiąkłszy kwasem mrówczanym, w zapaleniu dość przyjemny i zdrowy zapach wydaje. Po wsiach używają także mrówek do wytępienia liszek objadających kapustę, a to rozsypując po zagonach zebrane z pól lub lasów mrówiska.

W bardzo ciepłych krajach żyje mrówka wędrowna, która i do cala długości dochodzi. Robi ona mrówiska do 4 łokci głębokie, i wyściela je liściem. Dla zebrania zaś liści udają się te mrówki gromadnie do lasów i tam jedne włażą na drzewa i obgryzają liście, drugie zostają pod drzewem i przecinają na drobniejsze części spadłe z drzewa listki; nareszcie i tamte z drzewa spadają i wspólnie zanoszą do mrowisk zebrane zapasy. W czasie długotrwałych deszczów, gdy im braknie pokarmu, wędrują one tam w odległe strony, i wciskają się do wszystkich zakątków mieszkań ludzkich. Mieszkańcy tamtejsi chętnie ustępują tym przyjaznym gościom swoich domów, i pozostawiają je otworem, bo w krótkim czasie oczyszczają im mieszkania z myszy, szczurów i innych owadów, które się tam zagnieździły. Wędrówki te odbywają nawet przez małe strumyki, a do przybycia ich szczególny most przyrządzają. Jedna z silniejszych mrówek siada na kawałku kory przy brzegu, podczas gdy druga mrówka jej się czepia, tej znowu inna itd. Potem pierwsza siedząc na łódce, robi nogami jak wiosłami, i płynie ku drugiemu brzegowi; gdy tym sposobem most mrówczany przeciągnie, wtedy wszpstkie mrówki, przechodząc po towarzyszkach swoich, jakby po łódkach, przeprawiają się na drugą stronę.

Mrówki wędrowne napadają i w polach na myszy i szczury, nasze zaś mrówki objadają je tylko, gdy je napotkają nieżywemi, a chrabąszcze i bąki końskie są największemi zwierzętami, na które się u nas odważają.

Utrzymują, iż owad ten stósunkowo jest najmocniejszy ze wszystkich albowiem odrobinę, choćby ołowiu, tak wielką jak sama mrówka, unieść może, czego żadne stworzenie stósunkowo do swej wielkości nie dokaże, bo niechnoby na konia włożono tyle ołowiu jak sam jest duży, a pewnieby go nie uniósł. Powiadają iż mrówka zebranym w lecie zapasem, w zimie się żywi; lecz gdy wiadomo jest, iż ona w zimie żyje w odrętwieniu, tedy sądzićby należało, że i mrówka podobnie jak i inne odrętwiałe w zimie zwierzęta, n. p. niedźwiedzie niepotrzebuje w tym czasie pokarmu.

Jakkolwiek pomiędzy mrówkami nic, prócz miłości, zgody i równości dostrzegać się nie daje; jednakowóż wytępiają się one pomiędzy sobą, gdy się zanadto rozmnożą; ale nie zdradziecko



Starożytny kościół w Mikułczycach na G. Śląsku.

(Obacz artykuł na str. 795).

i nie chytrością, i nie podejściem to czynią, jak wiele innych owadów, tylko spotykają się z sobą w otwartem polu, jak dwa regularne wojska. Ich bronie stanowią: małe żądła, pyszczki i kwas ostry, który lekkie zaczerwienienie na ciele człowieka sprawia. Do wojny są jednak tylko zdatne robocze mrówki; inne uciekają, gdy im się pora wydarzy.

Bezżądłowe to jest samce ukąsiwszy drugie, szybko się tyłem obracają, aby w ich rany swój kwas ostry zapuścić. Jeżeli zaś nieprzyjaciel jest oddalony, to stawiają się w szyki, przechylają brzuchy pomiędzy nogi i pryskają kwasem, jak tylko zasięgnąć mogą; często też widzieć można, jak z wierzchu ich kopca deszcz mrówczanego kwasu w górę pryska, wydając woń podobną spalonej siarce. Nad wszystkich nieprzyjaciół lękają się najbardziej innych mrówek, nie wyłączając i najmniejszych, bo tych zaraz mnóstwo się do nóg większych czepia, w koło niemi kręci, i do ucieczki przeszkadza. Podczas walki zdumiewać się przychodzi nad ich odwagą, bo rozjątrzywszy się w boju, dozwolą sobie raczej nogi oberwać, niż się poddać, często też oberwane głowy, albo całe nieżywe mrówki wiszą u nóg uchodzących mrówek.

Między mrówkami równej wielkości, żądłowe, to jest samice i bezpłciowe są najgroźniejsze.

Większe napadają na mniejsze nieubłaganie: ujmują je wpół i duszą pyszczkiem; ale jeżeli się wprzód małe spostrzegą, wtedy kupami przyprowadzają sobie inne na pomoc.

Brunatno-czerwone t. j. większe mrówki, wyszedłszy z swego mrówiska, podchodzą aż do bram jasno-czerwonych, które choć o połowę od nich mniejsze, ale też są daleko liczniejsze, i także się odważnie bronią; jednakże po większej części pobite bywają i wtedy często o 50 stóp od mieszkania swego się oddalają, zabierając z sobą wszystko, co tylko im może być przydatnem. Po drodze rozstawiają małe oddziały na straży, które zbliżającą się wielką mrówkę zaraz aresztują; jedna wskakuje jej na kark, okręca się około głowy i zlewa ją kwasem, przytem mocują się z sobą; inne przybywszy jej na pomoc, zagryzają ją lub biorą w niewolę.

Jeśli kto chce widzieć regularne ich wojny, niechaj się uda do lasu, gdzie brunatno-czerwone mrówki swoje panowanie rozpościerają nad wszystkimi przechodzącymi owadami i z podobnemi sobie z różnych mrówisk wojny toczą, jakto w dawnych czasach sąsiednie miasta czyniły.

Nieraz z dwóch kopców, które przeszło o 100 kroków oddalone od siebie leżą, posuwają się przeciw sobie wojska tak liczne, że całą drogę na pół łokcia szeroko pokrywają i w połowie drogi z sobą walczą. Tysiące idzie w zapasy pojedynczo, i każda stara się drugą pyszczkiem zawlec w niewolę.

Właściwe pole bitwy ma półtora łokcia w kwadrat (to jest w szersz i wzdłuż), i wonieje mocno kwasem mrówczanym; w około leżą trupy pokryte tą cieczą, podczas, gdy całe oddziały lub pojedyńcze mrówki trzymają się za nogi i głowy lub tu i owdzie rozciągają się martwe. Walka rozpoczyna się zazwyczaj między dwiema mrówkami idącemi z otwartymi pyszczkami; te stawając przeciw sobie, pryskają na siebie swój kwas ostry na przemiany, potem przypadają do siebie z boku i pasują się z sobą dopóty w kurzu, dopóki trzecia nie nadejdzie i zwycięztwa nie rozstrzygnie; czasami też przybiega ich tam mnóstwo, i przyczepia się nogami do nieprzyjaciela tak, że często 6 do 10 trzyma się jednej mrówki. Pod noc odciągają oba wojska zawsze do swoich siedzib, pozostawiając tylko trupy, jeńców zaś zabierając z sobą. Ale przed wschodem słońca występują na nowo i to jeszcze zawięciej przeciwko sobie, a pole bitwy staje się do 6 stóp długie i szerokie; około południa zwyciężająca strona może już pole bitwy o 10 stóp ku nieprzyjacielskiemu kopcowi posunąć. Żądza boju tak jest gwałtowną, że choćby im kto przeszkadzał, to go nie oble-

zą ani się nie cofną. Najdziwniejszem jest to, że mrówki się poznają nawzajem i umieją przyjaciół od nieprzyjaciół odróżnić; idą one wprawdzie z otwartymi pyszczkami i napadają na siebie nieraz, ale zaraz puszczają się i głaszczą mackami (t. j. wąsikami czułymi, służącymi im zamiast wzroku), jeżeli do jednego mrówiska należą. Podczas walki jednak wszystkie zatrudnienia w kopcu idą swoją drogą i zawsze jedne ciągną jeńców do domu, podczas gdy inne są w boju, a znowu inne w las idą, aby pożywienia dostarczyć. Jeżeli deszcz spadnie, to mrówki powracają do siebie, a następnie unikają sąsiedztwa z drugim kopcem.

Inaczej przedstawiają się wojny mrówek brunatno-czerwonych z jasno-czerwonemi. Te ostatnie oczekują tamtych w małych oddziałach, w pobliżu swego kopca, pomykają się potem w mocno ścieśnionych szeregach, nie rozłączając się jedna od drugiej na chwilę i biorą w niewolę każdego pojedyńczego nieprzyjaciela, gdy się zdaleka od swoich wysunie. Ta wojna jest bardzo zabawną. Obie strony usadowiwszy się w zasadzkach, starają się podejść znienacka; lecz jeżeli czerwono-brunatne idą wstępnym bojem, wtedy zagrożone małe mrówki, zaraz proszą domowych na pomoc i w okamgnieniu liczne wojsko wypada z bramy, aby pojedyńcze hufce nieprzyjaciela otoczyć. Potyczki te, wznawiając się codzień, trwają i cały tydzień między dwoma dość odległymi kopcami, i to najczęściej, jeżeli na jednym nasypie lub wale ziemi leżą lub ich drogi krzyżują się z sobą.

Zdaje się, że brunatno - czerwone mrówki umieją się także bawić. Podczas dnia pogodnego zdarza się nieraz widzieć tłumy mrówek ogólnie poruszających się na kopcu, na podobieństwo wrzącej wody; każda trzepie wąsikami z zadziwiającą szybkością, to głaszcze jedna drugą po głowie przedniemi nóżkami; to ustawiają się potem parami, pasują się z sobą, przewracają i t. p. Potem obejmują się swym widełkowatym pyszczkiem to za szyję, to z tyłu, nie pryskając jednak kwasem i nic złego sobie nie wyrządzając; następnie puszczają się, dopadają drugie, aby się z niemi pasować.

U innych nie daje się spostrzegać tych wojowniczych zabaw. Widać to wybornie na takich kopcach, które dogodne położenia mają i znajdują się w bliskości pożywienia lub wody, i gdy są nieco nasypem ziemi od nieprzyjaznych odwiedzin zabezpieczone.

Czasami widać na kopcu mrówki, które się kręcą w koło przez 2 lub 3 minuty, jakoby zawrót miały; potem pędzą do drugich, chwytają je za nogi lub za macki i puszczają się, aby biedz do innych. Bawią się także z sobą jak psy, już to czając się, już wykręcając się, aby się nie dać złapać lub też udając, jakby się chciały kąsać, przewrócić i t. p. Nieraz też podpadają szczególnej chorobie; nie mogą prosto chodzić, ale biegają ciągle w kółko i krążą w niem jakie 100 razy na godzinę i to przez 6 dni, dniem i nocą czynią. Czasami przyjmują nieco miodu, gdy go im kto porzuci, ale zaraz uchodzą. To jednak spotyka tylko pojedyńcze mrówki; innych słabości u nich nie zauważano.

To bliższe obznajmienie się z tem zmyślnem stworzeniem, niechaj posłuży dla wielu z nas za wskazówkę, iż człowiek, jeżeli rozum swój odłogiem zostawi, a pracy swojej święcie i z chęcią nie wypełnia, mało co wyżej stoi nad najmniejsze stworzenia, naprzykład mrówki, które bez przymusu i żadnego dozoru, oddają się ciągłej pracowitości, tak przy sztucznej budowie swych mieszkań, jako też troskliwości około wyżywienia siebie i swego potomstwa.

Starożytny kościół w Mikułczycach.

Napisał J. Piast.

Mikułczyce leżą na zachodnim krańcu obwodu przemysłowego, 2 mile od Bytomia i pół mili od Zabrza. Na końcu przeszłego stulecia wioska liczyła 311, w roku 1855 już 1343, a dzisiaj liczy więcej niż 5500 mieszkańców, między którymi znajduje się około 80 protestantów i żydów. Chociaż tylko jedna wieś należy do parafii, starodawny kościółek nie mógł wystarczyć dla tak licznych parafian. Dla tego wystawiono w ostatnich latach obszerny i wspaniały kościół w stylu gotyckim.

Przy tej budowie w najlepszem świetle pokazała się podziwienia godna ofiarność ludu górnośląskiego. Wieś jest uboga, bo nie posiada ani 450 jutrzyn roli, a dwór, do którego należy około 4800 jutrzyn pola i lasu, jest własnością protestanckiego hrabiego Henckel-Donnersmarcka na Świerklańcu. Większa część mieszkańców jest zatrudniona przy kopalniach i hutach w okolicy. Chociaż zarobek jest lichy, przy miesięcznej wypłacie dobrowolne składki na budowę kościoła wynosiły zawsze kilka set, albo nawet tysięcy marek. Robotnicy, którzy w nocy mieli szychtę w kopalni lub hucie, chętnie we dnie bezpłatnie pomagali przy budowie. Tylko przy takiej ofiarności ludu, można zrozumieć, jak mogły powstać liczne i wspaniałe kościoły w obwodzie przemysłowym; niektóre z nich kosztują 200,000 lub nawet 300,000 marek.

W dekanacie bytomskim w r. 1857 liczono 11 parafii. Dzisiaj na tym samym obszarze jest 27 parafii, które mają 23 nowe kościoły, nie mówiąc o licznych kaplicach, klasztorach i szpitalach, które powstały w ostatnich 40 latach. Z kościołów drewnianych, które jeszcze przed 20 laty stały w rozmaitych miejscowościach np. w Bielszowicach, Boguszycach, Dzieckowicach, najdłużej się utrzymał starożytny kościółek w Mikułczycach, który od znawców historycznych zabytków wysoko jest ceniony.

Aby wszystkim, którzy go odwiedzali, pozostał w pamięci i żeby wszyscy czytelnicy mieli wyobrażenie o starodawnych kościołach wiejskich na Górnym Śląsku, umieszczamy w dzisiejszem »Świetle« obrazek kościoła mikułczyckiego według fotografii.

Najstarsza wzmianka o kościele w Mikułczycach znajduje się w spisie kościołów dekanatu sławkowskiego w dyecezyi krakowskiej, do której cała okolica bytomska aż do roku 1821 należała. Według tego spisu z roku 1326 był wtedy pewien Mikołaj plebanem w Mikułczycach. Lecz kościół, który nam się przedstawia na obrazku, pochodzi z XVI-go wieku; ambona czyli kazatelnica, jak mówimy na Śląsku, została wystawiona w roku 1580. Rozmaite części budowy noszą charakter średniowieczny. Na szczególną uwagę zasługują drzwi, wyrobione z masy podobnej do dzisiajszego »papiermaché«. Nad drzwiami znajduje się znakomita figura świętego Wawrzyńca, któremu kościół jest poświęcony. W głównym ołtarzu jest umieszczony starodawny obraz Najświętszej Maryi Panny w szacie metalowej. Według starodawnego zwyczaju są około kościoła obchody czyli poddaszek na słupach spoczywający. Drewniana wieża, w której wiszą 3 dzwony w XVI-tym wieku ulane, stoi trochę na uboczu, jak się to częściej trafia przy kościołach starożytnych. Ogromne drzewa na cmentarzu dodają obrazowi malowniczemu uroku. Rzeczoznawcy z Wrocławia, którzy w roku 1873 wydali wskazówki do opisu kościołów śląskich, mianowicie profesor dr. Schultz i radzca budowniczy Luedecke tak byli widokiem kościoła w Mikułczycach zachwyceni, że rysunek jego umieścili w swej pracy jako wzór drewnianych kościołów wiejskich.

NAJNOWSZE WYPRAWY DO BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

(Ciąg dalszy.)

Na domiar złego woda w kadłubie wznosiła się coraz wyżej, aż wreszcie dosięgła kotła parowego; marynarze rozpaczliwie pracowali przy pompach, które z trudnością dawały się poruszać z powodu silnego mrozu; ażeby zapobiedz ścinaniu się wody pod kotłami, używano wrzącej wody. Starano się utrzymać okręt na powierzchni oceanu aż do nastania dnia; nieszczęśliwi marynarze spodziewali się bowiem dostrzedz przy świetle zbawczą ziemię lub pole lodowe, na którem w ostateczności możnaby szukać ocalenia. Ponieważ wszystek węgiel zatonął wraz z łodziami, przeto, chcąc posuwać się naprzód, musiano palić pod kotłem drzwiami, rejami, meblami, a w końcu nawet słoniną.

Rozpaczliwe te usiłowania uwieńczył pożądany skutek, »Polaris« bowiem zdołał się utrzymać na morzu przez całą noc. Nazajutrz rano wylądowano szczęśliwie na wyspie Little Tom. Ze szczątków »Polarisa« rozbitkowie zbudowali wygodny domek, w którym przepędzili jako tako całą zimę.

Za nadejściem wiosny w 1873 roku zaczęto myśleć o opuszczeniu wyspy. Rozebrano więc domek, zbito z desek dwie łodzie, w których odważnie puszczono się na morze. Po dwudziestu dniach pełnej niebezpieczeństw żeglugi, załoga »Polarisa« spotkała się szczęśliwie z okrętem wielorybniczym, który zabrał ją na okręt.

Majtkowie, pozostali na krze, ocalili się również po wielu nadzwyczajnych przygodach; mieli oni wprawdzie poddostatkiem żywności, lecz posiadali tylko jedną łódź w dobrym stanie; ażeby więc wszyscy mogli się w niej pomieścić, musiano porzucić większą część prowiantu.

Z początku usiłowali się dostać do brzegu, lecz zamiar ten spełzł na niczem; umieścili się więc z łodzią na polu lodowem, pędzonem prądami na południe, w ten sposób spodziewając się dostać w okolice uczęszczane przez statki. W dniu 29-go Kwietnia spostrzegli duży parowiec na horyzoncie, ale ten nie zauważył ich sygnałów; dopiero nazajutrz inny okręt, wysłany na poszukiwania »Polarisa«, położył koniec ich niedoli.

Upłynęło sporo czasu, zanim Anglicy, zachęceni przykładem Amerykanów, zorganizowali nową wyprawę do bieguna. Przygotowano dwa parowce: »Alert« i »Discovery«, załoga których składała się z najwytrawniejszych marynarzy. Na dowódzcę tej nowej ekspedycyi powołano kapitana Jerzego Naresa, który odznaczył się już w 1850 roku pod Kelletem i w 1871 roku, jako przewodniczący wyprawy naukowej, odbytej na okręcie »Challenger. Oba okręty opuściły 29-go Maja 1875 roku Portsmouth; w miesiąc potem w dniu 25 go Lipca wyprawa znajdowała się już na wysokości przylądka York na północ od zatoki Melvilla. Ponieważ okolice przepływu Smith'a były zupełnie wolnemi od lodu, przeto żegluga na północ odbywała się bez przeszkód. W krótkim czasie zarzucono kotwicę w porcie Payera, na północ od przylądka Sabiny, gdzie z powodu otaczających lodów musiano się zatrzymać przez kilka dni; następnie oba statki dosięgnęły południowych brzegów ziemi Grinnella, zkąd walcząc z lodami, posuwano się wciąż na północ. Do przezimowania doskonale nadawała się naturalna przystań w zatoce Lady Franklin. Nares pozostawił więc tutaj statek »Discovery«, sam zaś na »Alercie« usiłował posunąć się jeszcze dalej ku północy.

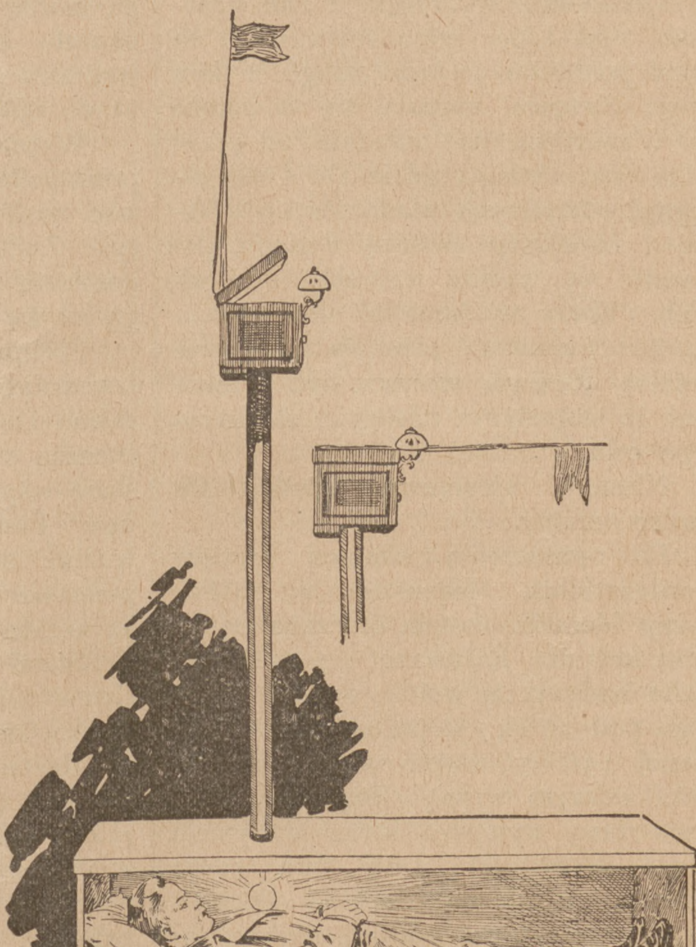
Musiano staczać uciążliwą walkę z krami, które naciskały silnie okręt. Nie mniej przecież dosięgnięto w dniu 1-ym Września 82^0 24 stopni północnej szerokości. W tym punkcie ziemia Grinnella, ku wielkiemu zdziwieniu Naresa,

zaginała się silnie ku zachodowi. Wdarłszy się na górę, wyprawa dostrzegła, iż wybrzeże biegnie daleko ku zachodowi, podczas gdy w kierunku północnym rozpościera się pusty ocean. Ponieważ »Alert« został zamkniętym przez lody u przylądka Szeridana; przeto nie chcąc tracić czasu, Nares urządził wycieczkę na saniach, jedna z nich pod przewodnictwem kapitana Markham, posuwając się na zachód, dosięgła przylądka »Józefa Henryka«. Z wierzchołka napotkanej na drodze góry udało się stwierdzić, iż wnętrze lądu ku południowi jest pokryte wysokiemi górskiemi pasmami na których drzemią wieczne lodowce; ku północy zaś otwiera się morze, na którem nie dostrzeżono żadnej wyspy.

Niebawem nadeszła noc podbiegunowa, która trwała przez 142 dni aż do Marca. Skoro słońce ukazało się znowu nad horyzontem, Nares przysłał dowódzcy statku »Discovery« polecenie zbadania północnego brzegu Grenlandyi; sam zaś w dniu 3-go Kwietnia zorganizował wyprawę pod wodzą kapitana Markhama, złożoną z pięćdziesięciu trzech ludzi, którym poruczył dotrzeć jak najdalej ku północy po lodzie. Zdawało się z początku iż wyprawa ta powiodła się; tymczasem zaś w dwa tygodnie po jej odjeździe dowiedział się Nares, iż wszyscy prawie jej członkowie, wskutek wielkich trudów, znajdują się w opłakanym stanie zdrowia. Niezwłocznie tedy pośpieszono z pomocą i przyprowadzono podróżnych szczęśliwie do okrętu. W wycieczce tej osiągnięto w dniu 12-go Maja 1876 roku 84^0 20 stopni szerokości północnej.

Druga wycieczka, dokonana przez załogę statku »Discovery«, posuwając się wzdłuż północno-zachodniego brzegu Grenlandyi, dotarła pod 83^0 7 stopni szerokości północnej, a 70^0 30 stopni zachodniej długości.

Rezultatem wszystkich dokonanych wycieczek było przeświadczenie, iż odkrycie bieguna przedstawia nieprzezwyciężone trudności. Nie chcąc przeto stawiać na kartę życia powierzonych sobie marynarzy. Nares postanowił wracać do Europy.



Przyrząd do ratowania ludzi w letargu. (Obacz objaśnienia rycin).

W dniu 27-go Października, po niebezpiecznej żegludze, wyprawa wylądowała na wybrzeżach Irlandyi, nie dosięgnąwszy zamierzonego celu.

Niepowodzenie, jakiego doznał Nares, nie położyło jednakże kresu dalszym

usiłowaniom. W 1876 roku właściciel New-York Heralda, James Bennet, przygotował swoim kosztem statek »Jeanette« pod dowództwem Jerzego De Long'a. Nowa wyprawa miała na celu: najprzód odszukanie »Wegi« i »Leny«, które pod Nordenskiöldem wypłynęły na morze Syberyjskie, a powtóre próbować, czy nie byłoby łatwiej dosięgnąć bieguna przez cieśninę Beringa.

»Jeannette« wypłynęła z San Francisko 8-go Lipca 1879 roku mając na swym pokładzie 32 ludzi załogi. W dniu 25-go Sierpnia znalazła się w zatoce św. Wawrzyńca na południe od przylądka Wschodniego, gdzie De Long zasięgnął pomyślnych wiadomości o »Wedze«. Minąwszy cieśninę Beringa, posuwano się wzdłuż wybrzeży syberyjskich. Kiedy w Ameryce dowiedziano się, że »Jeannetta« przebyła szczęśliwie cieśninę Beringa, wszyscy byli przekonani, iż ekspedycya dosięgnie zamierzonego celu.

Niestety! »Jeannettę« spotkał los bardzo smutny.

Po opuszczeniu zimowej kwatery Nordenskiölda, »Jeannetta« w pobliżu wyspy Heralda została otoczona potężnemi lodami. Posuwano się więc naprzód nadzwyczaj wolno; w dniu 16-go Maja pod 76⁰ 47 stopni szerokości północnej 158⁰ 56 stopni wschodniej długości odkryto wyspę »Jeannette«, dalej nieco inną wysepkę, która otrzymała miano »Henryetty«. W dniu 12-go Czerwca 1880 r. nieszczęśliwa »Jeannetta«, ściśnięta przez lodowce, szybko zatonęła; załoga jej zaś, szukając ocalenia na łodziach, dostała się do Nowej Syberyi, a ztamtąd do ujścia Leny. Zanim jednak nieszczęśliwym rozbitkom udało się dotrzeć do zamieszkałych okolic, okrutna śmierć położyła koniec ich długim cierpieniom. Z trzydziestu dwóch marynarzy kilku zaledwie ujrzało ojczyznę.

Niestety, pomiędzy nimi nie było De Longa.

To, o co daremnie kuszono się w przeciągu kilku ostatnich wieków, t. j. odkrycie przejścia północno-wschodniego zostało dokonanem przez Adolfa Eryka Nordenskiölda, którego nazwisko zabłysło w ostatnich czasach w świecie uczonym.

Zanim Nordenskiöld powziął plan swej epokowej podróży, odznaczył się już kilkoma czynami: w roku 1875 brał bowiem udział w wyprawie szwedzkiej do Nowej Ziemi, gdzie mu się udało przebyć cieśninę Jegorowa i przepłynąć na morze Karskie; ponieważ to ostatnie okazało się wolnem od lodu, przeto wyprawa zapuściła się dalej na wschód, aż do ujścia Jenisseju.

Wyprawa ukończona w roku 1876 przekonała, iż można bezpiecznie żeglować wzdłuż wybrzeży północnej Syberyi. Zachęcony temi rezultatami, Nordenskiöld postanowił dostać się tą drogą aż do cieśniny Beringa.

Projekt znalazł poparcie u króla szwedzkiego i pewnego kupca nazwiskiem Oskar Dickson, który ofiarował znaczną sumę na koszta wyprawy. Wysłano więc dwa okręty «Wegę« i »Lenę«. Pierwsza miała służyć do żeglugi wzdłuż brzegów, druga zaś otrzymała polecenie wpłynąć na Lenę i dotrzeć jej korytem aż do Jakutska.

Statki opuściły Szwecyę w dniu 22 Czerwca 1878 roku i bez wielkich trudności dostały się przez cieśninę Jegora na Morze Karskie. I tym razem udało się bez przeszkód przepłynąć przez tę »Lodownię« północy i dotrzeć do ujścia Jenisseju, gdzie zatrzymano się w porcie naturalnym, który ochrzczono nazwiskiem »Dicksona«, na cześć protektora wyprawy.

Po krótkim wypoczynku podniesiono znowu kotwicę i skierowano się na północny wschód; w dniu 11-go Sierpnia podniosła się tak gęsta mgła, iż musiano płynąć z największą ostrożnością; w końcu Nordenskiöld, obawiając się zabłądzić w nieznanych okolicach, musiał zatrzymać się przy wyspie Kjolmanna.

Kiedy nareszcie horyzont się rozjaśnił, spostrzeżono na powierzchni morza liczne lodowce, które stanowiły niebezpieczną przeszkodę. Posuwano się

naprzód niezmiernie wolno. W dniu 13-go Sierpnia okręty minęły grupę małych wysp, po za któremi na pewnej przestrzeni ocean był wolnym od lodu; niebawem jednak kra pojawiła się znowu i zmusiła wyprawę szukać schronienia w jednej z zatok stałego lądu.

Mgła, jakkolwiek nie tak gęsta jak przedtem, nie schodziła z horyzontu; statki musiały więc dawać sobie wzajemnie sygnały świstawką parową, aby się nie rozłączyć.

Dnia 19-go Sierpnia po obiedzie spostrzeżono w północno-wschodnim kierunku ostry przylądek, u brzegów którego zarzucono kotwicę; był to przylądek Czeluskin, do którego nie dotarł przedtem żaden europejski okręt. Wielka radość zapanowała na pokładzie »Leny« i »Wegi«; żeglarze byli już teraz pewni, iż zdołają szczęśliwie doprowadzić do skutku swoje plany.

Dla uczczenia tej uroczystej chwili wywieszono na masztach flagi, dano kilkadziesiąt strzałów armatnich i urządzono zabawę dla załogi. Pierwszą istotą, która dostrzegła wyprawę u brzegów przylądka, był potężny biały niedźwiedź, który spacerował po brzegu, przyglądając się ze zdziwieniem okrętom. Spuszczono szalupę, ażeby urządzić polowanie; niedźwiedź jednak, zaniepokojony zbliżeniem się ludzi, zaczął umykać, co mu nóg starczyło, po pierwszym strzale działowym.

Od przylądka Czeluskina Nordenskiöld chciał pożeglować do wysp Nowo-Syberyjskich. Z powodu wszakże gęstej mgły i cisnących się zewsząd lodów, musiano zaniechać tego planu i trzymać się bliżej brzegów.

Z wielkim trudem po długiej i nieustającej walce z mgłą i krami, wyprawa dopłynęła nareszcie do ujścia Leny. Tutaj okręty rozłączyły się. »Lena« bowiem wpłynęła na rzekę, »Wega« zaś pożeglowała ku cieśninie Beringa. Powietrze było spokojnem, temperatura znośna, a morze wydawało się wolnem od lodów. Z początku posuwano się szybko naprzód, dalej jednak morze okazało się tak płytkie, że musiano żeglować, nie wypuszczając ołowianki z ręki; kry stawały się coraz grubszemi i mocniejszemi; mróz ścinał powierzchnię oceanu, a pędzony prądami i wiatrem lód zmuszał statki do ciągłej zmiany kierunku, Trzymano się więc jaknajbliżej lądu. Na domiar złego mgła panowała ciągle. W tych warunkach podróż była nadzwyczaj jednostajna i nużąca.

Zmiana nastąpiła jednak prędzej, aniżeli się spodziewano; w pobliżu wysp Niedźwiedzkich napotkano bowiem duże czołno Czukczów. Cała załoga wybiegła na pokład, ażeby przypatrzyć się przedstawicielom tego mało znanego plemienia. Dzicy Azyaci nie mniej byli zdziwieni i uradowani na widok wielkiego parowca.

Kiedy skórzanne łodzie zbliżyły się, Czukczowie bardzo zręcznie wdrapali się na pokład i zawiązali żywą rozmowę na migi, gdyż nikt z załogi nie rozumiał języka przybyszów. Niebawem pożeglowano dalej.

Temperatura opadła, na oceanie ukazywały się coraz obszerniejsze pola lodowe i pływające góry. 20-go Września ścisnęły one tak bardzo »Wegę«, iż nie można było płynąć ani naprzód, ani się cofać. Z początku Nordenskiöld przypuszczał, iż pierwszy silniejszy wiatr rozproszy lody i uwolni okręt. Mijał jednak dzień po dniu, a w położeniu nie zachodziła żadna zmiana na lepsze; musiano tedy zdecydować się na przezimowanie o kilka dni drogi zaledwie od celu podróży. Lody wyrządziły więc Nordenskiöldowi potężnego figla. Położenie okrętu, zatrzymanego na otwartem morzu, było niebezpiecznem; na szczęście morze było dość głębokie i coraz liczniej nagromadzające się góry lodowe nie mogły wyrządzić wielkiej szkody.

»Wega« znajdowała się o 400 metrów zaledwie od brzegu; skoro więc morze pokryło się dostatecznie grubą skorupą lodu, wylądowano na saniach; Czukcze odwiedzający statek, zawiadomili Nordenskiölda, iż w pobliżu znajduje się okręt wielorybniczy. Wysłano więc oficera dla sprawdzenia tego do-

niesienia. Ten jednak powrócił z niczem; okazało się potem, iż ów statek stał rzeczywiście na kotwicy u wybrzeży, lecz w odległości znacznie większej, aniżeli ta, jaką podawali Czukczowie.

Zaczęto się przygotowywać do zimowania; pokład okrętu pokryto grubą warstwą śniegu, ażeby zabezpieczyć się w ten sposób od mrozu. Rozpięto po nad nim duży płócienny namiot, pod którym można było wygodnie się przechadzać, nie odczuwając przykrych skutków wiatru.

Dla Czukczów przybycie »Wegi« było szczęśliwym wypadkiem; otrzymywali bowiem od marynarzy poddostatkiem żywności, gdy im polowanie nie dopisało; ludzie ci nie mają stałych siedzib, lecz przenoszą się z miejsca na miejsce, szukając okolic obfitujących w zwierzynę. Nie budują oni domów z lodu, jak Eskimosowie, lecz stawiają szałasy drewniane, które z zewnątrz i z wewnątrz okrywają skórami.

Przez całą zimę załoga »Wegi« utrzymywała ożywione stósunki z temi ludźmi; za miejsce do wspólnych zgromadzeń służył namiot na pokładzie.

Zima minęła bez żadnego wypadku; okręt spoczywał w mocnem łożysku lodowem, oczekując chwili oswobodzenia. Minął jednak Maj i Czerwiec, a w położeniu nie zachodziła żadna zmiana.

Dnia 18-go Lipca załoga siedziała właśnie przy obiedzie, gdy nagle posłyszano, iż lody zaczynają pękać. Rozpalono niezwłocznie ogień pod kotłami i w dwie godziny potem »Wega« przystrojona we flagi, opuściła swe zimowe legowisko i przez wązką szczelinę w lodach wydostała się szczęśliwie na otwarte morze.

(Dokończenie nastąpi.)

* Objaśnienia rycin. *

Przyrząd do ratowania ludzi w letargu. Nieraz się już zdarzyło, że ludzi nie umarłych, lecz tylko zapadłych w letarg czyli sen głęboki, podobny do śmierci, pochowano w przekonaniu, że nie żyją. Ci biedni ocknąwszy z letargu udusili się w grobie bez powietrza. Dawno już przemyśliwali nad tem, jakby w letargu leżących ratować, lecz nikomu się to nie udało. Dopiero teraz niejaki hrabia Karnicki, podkomorzy cesarza rosyjskiego, zbudował przyrząd, jak się zdaje, praktyczny.

Przyrząd ten składa się z pudełka żelaznego, hermetycznie zamkniętego, które za pomocą rury łączy się w ten sposób z grobem, że jest umieszczona tuż nad piersią leżącego w letargu. W rurze znajduje się żelazny pręt, poruszający się za najlżejszem poruszeniem człowieka, nawet już wtedy, gdy leżący odetchnie. Skoro pręt się ruszy, natenczas pudełko żelazne się otwiera, dzwonek przytwierdzony przy nim zaczyna dzwonić, a chorągiewka się podnosi Równocześnie zaś wpływa do trumny świeże powietrze i światło.

W Paryżu robiono doświadczenia. Pewien dziennikarz francuzki, Valbel, pozwolił się w grobie zakopać i przez ćwierć godziny był zupełnie od świata odcięty. Przyrząd puścił w ruch tylko za pomocą oddychania. I rzeczywiście pokazało się, że przyrząd dobrze jest przyrządzony, bo dzwonek dzwonił głośno, chorągiewka się podniosła a do grobu wniknęło powietrze i światło. Obrazek w dzisiejszym numerze przedstawia przyrząd i owego zakopanego dziennikarza.

ROZMAITOŚCI.

* **Podkurek,** czas nad ranem, kiedy kury pieją. Oznacza także śniadanie podawane nad ranem biesiadnikom, którzy hasali przez noc całą, złożone zwykle z barszczu, bigosu i kiełbasy. Jeżeli zabawa ma miejsce w ostatni wtorek, to skoro północ uderzy, muzyka milknie, gospodarz wnosi półmisek pod przykrywą i odsłania takową; wylata z pod niej wróbel lub inny ptak, a na półmisku pozostaje śledź i jaja. Oznacza to, że z zapustem uleciało mięso, a z postem przybył śledź. Postna ta o północy wieczerza, ze śledzia, jaj i mleka złożona, zowie się także podkurnikiem.

FRASZKI.

* **A czy** żona w interesach panu pomaga?
— A jakże! Wydaje to, co ja zapracuję.

* **Cóżeś** taki mizerny?
— Bo mi było bardzo źle. Jak mnie tu widzisz, wczoraj od dwunastu miesięcy pierwszy raz wyszedłem na świat.
— Ty biedaku! A cóż to cię takiego spotkało?
— Rok kozy.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Światło

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 16-go Grudnia 1897. Nr. 50.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Żupnicy.

Urzędnicy w kopalniach czyli żupach królewskich, a mianowicie w Wieliczce i Bochni nazywali się żupnikami. Żupy te od XIII wieku sławne, stanowiły dochód książąt krakowskich, potem królów polskich. Kazimierz Wielki zaprowadził w nich porządne gospodarstwo i r. 1368 kazał spisać dawne zwyczaje dotyczące się żup i jako prawo ogłosił. Król ten w rozporządzeniu swojem wspomina już starych żupników, którzy żupom przewodniczyli, i pod przysięgą miejscowe stare zwyczaje do statutu podawali. Tak żupy powyższe jako i żupnicy nazywali się krakowskimi. Byli to właściwie dzierżawcy i płacili z żup dzierżawy królowi po sto dukatów, królowej zaś po 50. Oprócz tego płacili pewne sumy różnym kościołom i klasztorom, dawali obroki koniom królewskim. Statut górniczy Kazimierza Wielkiego zatwierdził potem w r. 1451 Kazimierz Jagiellończyk i pozwolił podskarbiemu koronnemu »w cztery konie« do żup przyjeżdżać po odebranie pieniędzy. Żupnicy krakowscy robili majątki, bo zyski mieli ogromne. Za Kazimierza Jagiellończyka sławnym był Mikołaj Serafin, miecznik krakowski, który żupy solne trzymał za 16,000 grzywien rocznie. Gdy powstały niebawem żupy na Rusi w okolicach Sambora, pojawiają się i żupnicy ruscy. Żupnicy krakowscy Bonarowie, Morsztynowie, Betmanowie, dzierżyli różne urzędy krakowskie i górnicze, i to nawet dziedzicznie, niemniej starostwa: oświęcimskie, bieckie, zatorskie i inne. Raz oddawane były żupy krakowskie żupnikom w dzierżawę, to znowu w prosty ich zarząd. Niesiecki opowiada o żupniku Kościeleckim, że kiedy raz pożar w żupie wybuchnął i nikt na ratunek nie spieszył z obawy śmierci, Kościelecki razem z Betmanem, rajcą krakowskim, rzucili się w płomienistą przepaść i pożar stłumili. Obok najwyższego żupnika był później jeszcze żupnik zwyczajny. Za Zygmunta Augusta najwyższym żupnikiem był Bużeński, podskarbi W. kor., zwyczajnym zaś Ludwik Decyusz, historyk. Byli i żupnicy olkuscy. Szlachta dopominała się o tanią sprzedaż soli dla siebie. Już w roku 1454 na sejmie w Nieszawie i Opokach król stanowił o tej sprzedaży. Urządzono zatem składy soli po województwach i ziemiach, które nazywano »żupami solnemi«, a szlachcic przełożony nad takim składem był żupnikiem ziemskim, wojewódzkim lub powiatowym. Zygmunt August potwierdzając prawa Korony w roku 1550 obiecał, że »soli dostatkiem wszystkie państwa swe zaopatrzać będzie podług praw dawnych«. Od owych czasów powstają urzędy żupników ziemskich, a każdy król potem musiał w Paktach obiecywać stanowi rycerskiemu dowóz soli po ziemiach. Na kilku sejmach rozwijano zasadę rozwożenia soli i stanowienia żupników. Król sprzedawał sól stanowi rycerskiemu czasem niżej kosztu jej wydobycia. Nazywano ją suchedniową, z powodu, że szlachta początkowo przyjeżdżała po nią 3 razy do roku i tylko w dni pogodne czyli »suche« zabierała. Żupników ziemskich nazywano naprzód dystrybutorami. Konstytucya z roku 1588 nakazuje, aby żupnicy ruscy »nie wyciągali owsów od tych co po sól przyjeżdżają, pod karą stu grzywien w sądach ziemskich.«

Żupnik ziemski nie stanowił oddzielnej godności, bo żupę godziło się trzymać wraz z innym urzędem. Wogóle było w Rzeczypospolitej około 23 żupników, głównie w Wielkopolsce, Mazowszu i Podlasiu. Urząd ten stracił wszelkie znaczenie, gdy Wieliczka i Bochnia odpadły od Korony do Austryi.

Z życia sławnych ludzi.

1. Stone jeden z najdzielniejszych matematyków angielskich był synem ogrodnika księcia Argile. Gdy jeden ze służących nauczył malca czytać, chłopczyna sam wyuczył się francuszczyzny, łaciny, greckiego, geometryi i wszystkich nauk o jakich książki mógł sobie zdobyć.

Pracował nad nauką, będąc jednocześnie lokajczykiem w domu wielkiego pana, w którym się urodził. Jednego dnia, książę zadzwoniwszy kilka razy na małego Stone i nie widząc go wchodzącego, zdziwiony tem nieposłuszeństwem, poszedł sam do przedkoju. Miał szczery zamiar ukarać małego niedbalca, którego zastał z książką w ręku, zatopionego w myślach, niedających mu pewno usłyszeć dzwonka.

Spostrzegłszy księcia, Stone schował czemprędzej książkę; lecz pan rozkazał mu oddać ją sobie, bo widząc pomięszanie chłopaka, sądził, że się zachwycał jakiemś dziełem więcej szkodliwem niż pożytecznem. Jakże się zdziwił, poznawszy, że ta książka była jednem z najgłębszych dzieł wielkiego fizyka Newtona. Z początku przypisywał trafowi znajdowanie się takiej książki w takich rękach, lecz po kilku pytaniach, zadanych lokajczykowi, przekonał się, że był w błędzie.

Uderzony wysoką inteligencyą, jakiej to dziecko dało dowody, doszedłszy bez żadnej pomocy do takiego stopnia wiedzy, książę zapewnił mu środki dokończenia tak szczęśliwie zaczętych nauk; Stone mógł się im odtąd oddawać bez przeszkody.

2. Raffet, jeden z najoryginalniejszych rysowników francuskich, był synem ubogiej wdowy, która go oddała do terminu do tokarza. Chłopczyna po warsztatowej pracy chodził na bezpłatne kursa rysunku i pracując po nocach został niepospolitym artystą.

3. Karol Rollin, historyk, pracował w warsztacie swojego ojca nożownika. Pewien ksiądz, odkrywszy w nim zdolności, prosił starego, aby go kazał uczyć i sam, wyrobiwszy mu stypendyum w kolegium du Plessis, ułatwił jego wykształcenie. Rollin wkrótce dał dowody, że nauka padła na dobry grunt.

4. Michał Sedain, francuski autor dramatyczny, urodzony w r. 1719, był synem paryskiego architekta, zrujnowanego przy jakiejś nieszczęśliwej budowie. Po śmierci ojca, chłopczyna sam był jedyną opatrznością matki i dwóch braci. Został obciosywaczem kamieni i tym sposobem dopomagał rodzinie.

Pracując nad tem ciężkiem rzemiosłem, Michał stanął w szeregu najzdolniejszych ówczesnych autorów dramatycznych. Dziś jeszcze grywają jego sztuki, między któremi »Filozof bez wiedzy«, dzieło zarówno rzewne jak dowcipne, dotąd cieszy się nieustającem powodzeniem.

PTASIE WESELE.

Potężne kiedyś słowiańskie ludy Wendów, które Polskę odgradzały od zalewu niemczyzny, wyginęły pod mieczem i ogniem Niemców. Szczątki ich, około 250 tysięcy Serbów łużyckich, opierają się do dziś zgermanizowaniu, a lud po wsiach zamieszkały zachował dawno u nas zapomniane zwyczaje.

Takim zwyczajem jest u Łużyczan tak zwane »ptasie wesele«. Dwudziestego piątego Stycznia odprawiają ptaki swe wesoła i wszyscy ludzie się przytem weselą. Już wieczorem poprzedniego dnia wystawiają dzieci małe miseczki na zewnątrz okna, w które im ptaszki przez noc różnych podarków naskładają. I najbiedniejsza matka postara się dla swych malców o jaki cukierek. Jak się to cieszą dzieci wtedy, gdy się dla każdego coś smacznego, słodkiego i użytecznego znajdzie w miseczce. Takie dziecko jest pełne potem wdzięczności do tych skrzydlatych stworzeń boskich, kocha je i z pewnością i nad innem stworzeniem pastwić się nie będzie, jak to czynią u nas niesforne chłopaki, których w szkole po niemiecku kształcono.

W tem ptasiem weselu widać początek zwykłej u nas jeszcze przed niedawnym czasem gęsto obchodzonej kolendy, którą teraz obdarowywaniem gwiazdkowem na wzór niemiecki zastąpiono.

Dzięki tym swoim zwyczajom uchowali się Serbowie łużyccy przed zgermanizowaniem. Gdy miejscami po zaprowadzeniu chrześciaństwa duchowieństwo z Niemiec sprowadzone zaczęło tępić zwyczaje i obyczaje ludowe, lud powstał i oparł się temu stanowczo, nie chcąc z nabytkiem zbawiennej wiary zatracić niewinnych swoich dawnych zwyczaji i obyczaji i ztąd się też jeszcze wiele ze starych słowiańskich obrządków przechowuje okolicami pomiędzy pojedyńczemi słowiańskiemi plemionami.

Praktyczne rady.

— **Srodek na popadane ręce.** Najpierw umyć ręce, dobrze obsuszyć i natrzeć crémem céleste (Unguentum emoliens) potem nalać trochę spirytusu mydlanego (Spr. saponatus) i dobrze rozcierać jedną rękę o drugą. W końcu zetrzeć z rąk szumowinki mydlanne i to przez niejaki czas powtarzać.

— **Dla lubowników kwiatów!** Do najwdzięczniejszych i najmilszych kwiatów kwitnących w zimie należą bezwątpienia pierwiosnki chińskie (primula chinensis). Są one do przyozdobienia okien, stołów, a szczególniej do dekoracyi kościelnych, jakby stworzone. Często w mem życiu podziwiałem w wielkich miastach w porze zimowej, przyozdobione okna mienniejszych mieszkańców prześlicznem kwieciem i pytałem sam siebie, cóż to mogą być za kwiaty? Nareszcie dowiaduję się, że to są chińskie pierwiosnki. Aby więc mieć przyjemność i uciechę także i w zimie ożywić i przyozdobić swoje mieszkańko błyszczącymi kwiatkami, potrzeba tylko sprowadzić sobie 100 pojedyńczych ziarnek w rozmaitych odmianach farb pierwiosnek (fimbriata primula chinensis) za 50 fenygów. Jeżeliby ich nie mieli miejscowi ogrodnicy, sprowadzić je można z Niższej Bawaryi z miejscowości Frauendorf, poczta Vilshofen. Ktoby się nie chciał zajmować pielęgnowaniem pierwiosnków z nasienia, ten niech każe sobie przysłać wyrosłych już sadzonek (flancy) 100 sztuk za 4 marki a 10 za 60 fenygów. Na wiosnę sieje się nasienie, z którego już w Sierpniu dobre i mocne mamy sadzonki, które się przesadza w doniczki. Skoro nadejdzie zima jesień, bierze je się do jakiegobądź zimnego pokoju i stawia na oknie na działanie słońca, a na Wszystkich Świętych już rozpoczyna się flora, która trwa bez przerwy, aż do połowy miesiąca marca. Mocny krzaczek pierwiosnki wydaje przeszło 200 kwiatków wielkości talara. Czerwone i białe gatunki rozróżnić możemy zaraz po żyłkach na listkach, które zdradzają przyszły kolor. Oprócz z kwiatkami pojedyńczymi, mamy także pierwiosnki z kwiatem pełnym (dubeltowym), a wszystko w najpyszniejszych i najżywszych kolorach. Kto więc jest lubownikiem kwiatów, a raz tylko zajął się pielęgnowaniem pierwiosnków chińskich, nigdy potem nie zaprzestanie ich hodowania.

Rozmaitości.

* **Żydzi a rękodzieła.** Lat temu 30, nie było jeszcze kluczów lanych, fabrycznych, ale klucze do zamków wykuwano w warsztatach. Dobry robotnik mógł zrobić takich kluczów dziennie 60—80, klucz zaś kosztował 6 do 8 centów. Przed 26 laty klucze sprowadził do Lwowa żyd Pordes na Żarwanicy i sprzedawać je począł po 3 centy za sztukę. Rzecz prosta, robota kluczów kutych w warsztatach wobec takiej taniości klucza lanego ze sklepu, nie opłacała się, wyrobu kluczów zaniechano tak, że obecnie wypisany czeladnik klucza takiego zrobićby nawet nie potrawił. Co się dalej dzieje! W ciągu lat 16 cena klucza lanego, fabrycznego podniosła się z 3 na 15 centów! Publiczność przyzwyczaiła się do kluczów fabrycznych i kuć je teraz w warsztacie, choćby taniej wypadły nie można. Tak to żydzi wartość pracy rąk ludzkich obniżają i sami na tem najlepsze robią interesy.

* **Objawy zatrucia tytoniem i wpływ tytoniu na serce.** O stanie i objawach zatrucia tytoniem dr. Tavarger w Wiedniu dawał dość obszerne objaśnienie w cesarsko-królewskiem towarzystwie lekarzy. Badania jego wykazały, co następuje: Przez długoletnie palenie tytoniu następuje istotne zatrucie. Z objawów jego najjawniejsze są zaburzenia w obiegu krwi i w narządzie trawienia Zwykłym objawem jest bicie serca, które przy wstrzymaniu się od palenia, czasami znowu znika, ale i dalej trwać może. Jeżeli pomimo tego ostrzeżenia przyrody dalej się pali, to następują osłabienie serca, duszności, dychawica sercowa (asthma cordiale), czasami wypadki uduszenia. Lekarz przy badaniu fizykalnem albo nic nie znajduje, albo też oznaki przewlekłego zapalenia serca, lub też jego otłuszczenia. Chory odnośnie do żołądka cierpi na brak oskomy (apetytu), na ból w dołku i uczucie przepełnienia; przytem na zatwardzenie naprzemian z biegunką.

Zaburzenia w układzie nerwowym objawiają się bezsennością i omdlewaniem. Stłuszczenie ogólne (otyłość) i krwawienie przyłączają się jeszcze zwykle wtedy, jeżeli chory obficie hołdował napojom wyskokowym i uciechom stołu. Lekarze francuzcy spostrzegli, że stale palący tytoń nader często giną z chorób serca, zwłaszcza jego otłuszczenia i porażenia (paraliż serca) — i z cierpień nerwowych, a zwłaszcza mlecza. Psychiatrzy Guislain i Agen uznali ogólny bezwład postępowy za skutek nadmiernego palenia. Beau już przed 30 laty przedstawił francuzkiej akademii nauk wyniki swych badań, które dowodzą, że najokropniejsza ze wszystkich chorób serca, duszność boczna (angina pectoris), najczęściej jest bezpośrednim skutkiem palenia tytoniu.

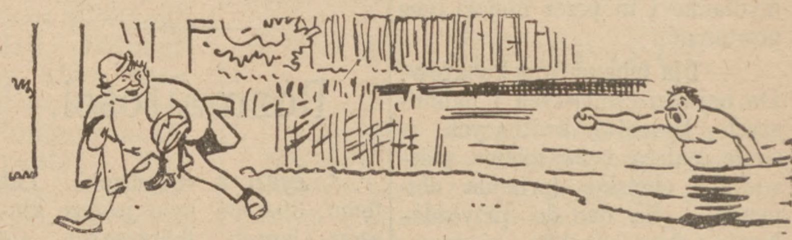
* **Nafta Rosyjska** będzie mogła obecnie skuteczniej konkurować z amerykańską w Niemczech. Oto wchodzą w życie nowe bezpośrednie taryfy dla nafty z portów morza Kaspijskiego i większych miast nad Wołgą, do stacyi kolei niemieckich i holenderskich. Usiłowania amerykańskiego naftowego trustu, by kaukaskich producentów ściągnąć do kartelu, spełzły na niczem.

* **Chinka misyonarką.** W Chicago została ochrzconą pewna Chinka w kościele metodyskim św. Jakóba i otrzymała na chrzcie imię Leny Brown. Straciła ona rodziców, licząc lat 13, a pewien wuj jej oddał ją pewnemu kupcowi chińskiemu w Los Angelos, Cal., który chciał się z nią ożenić. Uciekła ona jednak, nie chcąc wyjść za mąż i pewne panie, należące do

tutejszych kościelnych towarzystw metodyskich, zaopiekowały się nią i przywiozły ją do Chicago. Tu przez dwa lata pobierała nauki, równocześnie zarabiając na utrzymanie robótkami kobiecemi. Ma ona zamiar udać się do Chin, jako misyonarka.

* **Kasy oszczędności w Prusach.** Według zestawień urzędowych było w roku 1895 96 w Prusach 1493 kas oszczędności, a mianowicie 628 miejskich, 76 wiejskich, 372 powiatowych i 311 prywatnych, lub utrzymanych przez towarzystwa. Książeczek w obiegu było 8,869,548. W przecięciu złożono na każdą 631,80 mr. Suma ogólna oszczędności wynosiła na końcu roku obrachunkowego mr. 4,340,130. 52, na początku zaś 3.994,839, 851 marek. Oszczędności powiększyły się zatem w roku 1895'6 o mr. 344,313,243. Na cele publiczne przeznaczyły kasy ze swoich zysków 12,863,546 mr.

* **Konina w Berlinie.** Mięso końskie Berlińczykom dość smakuje. W roku 1896 przysłano do rewizyi, przeznaczonych na rzeź, koni 7601 i osłów 5. Z tych za niezdatnych na pożywienie dla ludzi uznano 169, a po zabiciu jeszcze 55. Do »ogrodu zoologicznego« i dla psów w szpitalu akademii weterynaryjnej spotrzebowano 532 zabitych koni. Wszystkie konie, uznane za odpowiednie, zużyto przeważnie na siekaninę w kiszki i kiełbasy.



K ą p i ą c y s i ę o b y w a t e l: Stój, człowiecze, to moje szaty.

Z ł o d z i e j u c i e k a j ą c: Teraz są moje.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.